XXII. Kraków, 15 listopada 1919 r. Nr. 22

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



Nad morzem.

On: Serce kobiety jest nieobliczalne jak morze...

Ona *(kończąc)*: ...po którem skaczą bałwany!...

Od Administracyi.

Z powodu ponownego podrożenia papieru oraz wszelkich materyałów drukarsko-technicznych jesteśmy zmuszeni podnieść prenumeratę „Bociana“.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 1-go grudnia b. r. wynosi:

Rocznie	K 57·60
Półrocznie	„ 28·80
Kwartalnie	„ 14·40
Pojedynczy egzemplarz	„ 2·50

Spodnie Nerona.

Starożytni Rzymianie obchodzili się jakoś, jak uczy historya, bez tej części męskiej garderoby.

A jednak...

Panna Hela, uczenica ósmej klasy gimnazyalnej, wybrała się wraz z koleżankami, a pod kierownictwem jednego z profesorów, celem zwiedzenia zbiorów Muzeum Narodowego.

Po powrocie do domu, składa wobec rodziny sprawozdanie, co widziała, co jej się podobało, co mówił pan profesor.

— Najpierw pokazał nam pan profesor „Pochodnie Nerona“ i dokładnie objaśnił... Jakie to śliczne, ale jakie straszne! — opowiadała z przejęciem.

Słów jej słuchała siedmdziesięcioletnia babcia, nieco już głucha.

Widocznie musiała się przesłyszeć, gdyż przerywa z oburzeniem:

— To obraza Boska!... Pfe!... A kto to widział, aby młodym panienkom pokazywać spodnie jakiegoś tam Nerona i jeszcze objaśniać!... Ale taki to już dziś duch czasu!... Gdy byłam w tym wieku, nie pomyślałam nawet o czemś podobnem!... A ta sroka powiada głośno, że one takie śliczne!... Ładnie pedagogowie dzisiejsi wychowują młode pokolenie!...

Salon i kuchnia.

Panią domu miłość zbiera,
Ma w salonie oficera,
Lecz służącej nie pozwala
W kuchni nawet na kaprala.

Pani kocha pokryjomu
Przyjaciela pana domu,
Lecz jest bardzo zagniewana,
Gdy służąca kocha pana!

Kiedy panna chora troszki
Zapisuje lekarz proszki,
Ale gdy jest w gorszej biedzie
Wtedy z mamą na wieś jedzie!

Lecz niech sługa głupstwo palnie,
Krzyczą, że to niemoralnie,
Takie to są te burżuje,
Każdy grzeszy, a pyskuje!

⊙ ⊙

Lekcya gramatyki.

(Rzecz dzieje się w szkole).

Pan nauczyciel wyłożył swym uczniom budowę zdania i, chcąc się przekonać, czy zrozumieli, zaczyna egzaminować.

— Panna stoi na progu! — mówi — Kohn! Co to jest?

— To jest zdanie! — odpowiada zagadnięty.

— Dobrze!... Dwie panny stoją na progu... Taubeles!

— Zdanie!...

— Trzy panny stoją na progu...

— Ja wiem, co to jest! — wyrywa się z ostatniej ławki mały Moryc, znany ze swej tępoty.

— No! — zachęca nauczyciel, aby mu dać sposobność do popisania się.

— To jest — odzywa się malec z tryumfem — taki dom, gdzie mieszkają panienki!...

A jednak wyszło!

Było to za dawnych jeszcze czasów, przed kantorem, czyli kolekturą c. k. loteryi liczbowej, obliczonej na ludzką naiwność, mającą ratować austryackie finanse.

Loterya w tym dniu „odchodziła“, robiono więc najrozmaitsze kombinacye, aby tylko szczęście złapać za ogon i zrobić, jeżeli już nie terno, to bodaj ambo.

Opowiadano sobie nawzajem sny i robiono na tem tle najróżnorodniejsze kombinacye, w których celowała zwłaszcza pani Maciejowa, obywatelka z Kleparza, gorąca wielbicielka herbaty z arakiem i loteryi.

— Szkoda czasu i pieniędzy! — odezwała się tymczasem jedna z kumoszek, co panią Maciejową poruszyło do głębi... Wzięła się pod boki i pyta:

— Ciekawam, dlaczego?

— Moja pani — zagadnięta na to — będzie temu dwa tygodnie, śni mi się z przeproszeniem wychodek...

— To pewna siódemka!... — poucza pani Maciejowa.

— Ja też postawiłam siódemkę!

— No?...

Wszyscy z natężeniem nadstawili uszy...

— I wyszło g....! — zakończyła, spluwając z irytacyą.

— A jednak wyszło!... — zakonkludowała pewna siebie pani Maciejowa.

Fatalna omyłka druku.

(Z komunikatu teatralnego.)

...Bywalcy teatralni przyjmą zapewne z zadowoleniem do wiadomości, że na ogólne żądanie zostanie w bieżącym tygodniu wznowiony Molierowski „Swiństuszek“. W roli tytułowej wystąpi ulubieniec naszej publiczności pan X. Y.

W przygotowaniu tegoż autora „Chory z ujajenia“, który ukaże się na scenie w następną sobotę.

Bilety już do nabycia w Kasie teatralnej.

Dlaczego się nie ożeniłem?

(Kartka z pamiętnika starego kawalera).

Czytając codziennie w naszych pismach zawiadomienia o ślubie: pana X. z panną Y., pana Z. z panną A. i t. d. aż do znudzenia, postanowiłem i ja, czując się zupełnie na siłach, przyjść także krajowi z pomocą i przyczynić się do zapełnienia tych luk, jakie w szeregach ludności poczyniła wojna.

Powiedziałem sobie: „Lepiej późno, niż nigdy“... i ogłosiłem w dziennikach krakowskich następującej treści inserat:

„Kawaler w poważniejszym wieku, ale jeszcze bardzo dobrze zakonserwowany, o miłej powierzchowności i szlachetnym charakterze, posiadający wykształcenie i odpowiedni majątek, na tej drodze z powodu braku znajomości poszukuje dozgonnej towarzyszki życia, panny lub bezdzietnej wdowy, w wieku do lat trzydziestu, zdrowej, miłej i gospodarnej. Zgłoszenia listowne z fotografią pod „Nierozdarty Hymen“ poste restante Kraków, ewentualnie osobiste porozumienie codziennie od godz. 12 do 1 w południe, ulica ....“

Za ogłoszenie w trzech dziennikach zapłaciłem dość słono, ale pomyślałem sobie, że się ten wydatek przecie opłaci, gdy się znajdzie kochające serce, które się będzie opiekować człowiekiem na stare lata, dzielić jego radości i smutki, gotować obiad, cerować skarpetki, przyszywać guziki, słowem załatwiać to wszystko tanim kosztem, za co kawaler musi słono płacić.

Na drugi dzień pojawiło się ogłoszenie po raz pierwszy. Ciekawy byłem, czy też która z przedstawicielek płci nadobnej zareaguje na nie i, rozmyślając nad tem, wybrałem się do miasta, aby załatwić kilka ważnych interesów.

Na godzinę dwunastą postanowiłem wrócić do domu, aby być na miejscu na wszelki wypadek, bo nuż się kto zgłosi...

Dochodzę do bramy kamienicy, w której wynajmuję na drugiem piętrze apartament, przeznaczony „dla kawalera, albo przyzwoitej osoby“ i widzę ku memu wielkiemu zdziwieniu, ogon, sięgający prawie do połowy ulicy.

Zapewne — pomyślałem sobie — musi się tu mieścić jakiś urząd wydający kartki na chleb, węgle lub naftę, o czem dotąd nie wiedziałem, nigdy się bowiem nie interesuję tem, kto obok mnie mieszka. Wystarczy mi zupełnie przeświadczenie, że niema tam małych dzieci, fortepianu, córki, kształcącej się na śpiewaczkę operową lub wyjącego psa...

Mogą być ogonki „rautowe“, nic zatem dziwnego, że są i przed urzędami, wydającymi kartki na tak niezbędne artykuły. Brak ich, co prawda, ale można się cieszyć bodaj kartką...

Porządku „w ogonie“ pilnowało dwu inspektorów i sześciu żołnierzy policyjnych. Że składał się on przeważnie ze samych przedstawicielek rodzaju żeńskiego, to mnie nie zdziwiło, wiem bowiem, że one zajmują się przeważnie gospodarstwem domowem i tem wszystkiem, co z niem ma jakąś styczność.

Ponieważ, jak mi się wydało, nie mam nic wspólnego z owym ogonem, sunę prosto do bramy. Drogę zastępuje mi jednak inspektor policyi.

— Proszę do ogonka! — rzekł z miną urzędową.

— Ależ! — ja mu na to. — Tutaj przecież mieszkam! Idę do domu!

— Bardzo żałuję, ale na to nie poradzę!... Każdy z tych, co tu stoją, mówił tak samo!

— Mogę się wylegitymować! — To rzekłszy wydobyłem z kieszeni całą torbę osobistych aktów, z którymi od czasów austryackich nigdy się nie rozstaję.

Oglądnął je dokładnie i widać było z jego oczu, że mi wierzy. Wobec tego i ja nabrałem do niego zaufania i pytam:

— Panie komisarzu!... A co to za ogonek?... Chlebowy, węglowy, cukrowy, czy naftowy?

— Nie, panie łaskawy!... Żaden taki!... Takiego, jak ten, jeszcze w Krakowie nie było!... To ogonek małżeński!

— Nie rozumiem!...

— Zaraz panu wytłumaczę!... Jakiś waryat, mieszkający w tym domu, ogłosił w gazetach, że poszukuje żony... To są wszystko kandydatki do stanu małżeńskiego.

— I pan go nazywa waryatem?

— Tak, panie!... Ja sam powiadam sobie, że zrobiłem głupstwo, żeniąc się przed dziesięciu laty... Niestety, co się stało, już się nie odstanie!... Dziś dałbym wiele za to, gdybym mógł być swobodnym!... Wie pan, ile dziś kosztuje utrzymanie domu?

— Chyba nie więcej, jak kawalera!... Powiedziałbym nawet, że mniej, gdyż żonaty ma niejedną rzecz zadarmo, podczas gdy kawaler musi za nią płacić i to słono!... Ja też tylko dlatego postanowiłem się ożenić... To ja właśnie jestem tym, który ogłosił w gazetach, że poszukuje żony!

— Pan?... — i popatrzył na mnie z politowaniem. — Przyznam się, że nie byłbym pana nawet posądził o coś podobnego. Ale, w takim razie proszę z tem zrobić jakiś porządek, gdyż w przeciwnym razie musiałbym pana pociągnąć do odpowiedzialności za wywołanie zbiegowiska...

Nasza rozmowa doszła widocznie do uszu pierwszej dwójki w ogonku, gdyż nagle wszystkie oczy skierowały się w mą stronę, ogonek się wyprężył, a z ust do ust podawano sobie szeptem:

— To on!...

Zniknąłem w bramie.

W sieni zastałem stróża z miotłą w ręku i stróżkę z maglownicą.

— A to nam pan narobił bigosu! — odezwali się oboje jednocześnie. — Co się tu dzieje!... Od jedenastej pilnujemy tu, gdyż te panie chciały wybić drzwi w pańskiem mieszkaniu!...

Na schodach spotkałem gospodarza. Był widocznie podniecony, ale mnie to nie zdziwiło, gdyż wiem, że teraz każdy z nich uważa się za ofiarę losu, której nie wolno podnosić czynszów.

— Panie! — zawołał z rozpaczą. — I cóż pan zrobiłeś najlepszego!... Dzięki panu, omal nie zawaliły się schody... A zapewniał pan, że jesteś spokojnym lokatorem i że z panem nie będzie kłopotu!...

— A cóż ja jestem temu winien, że się chcę ożenić?... Spełnię tylko swój obowiązek obywatelski!

— I może chciałbyś pan mieć małe dzieci?

Dał się przekonać.

Pan Tomasz zaniedbywał się w swych obowiązkach małżeńskich, lubił przebywać poza domem, wracał nieraz pod dobrą datą, nic też dziwnego, że pani Tomaszowa, jeszcze młoda i ochotę do życia mająca, musiała sobie poszukać innego pocieszyciela.

I znalazła go bardzo rychło, bo o to nie trudno i to w osobie przyjaciela swego małżonka.

Ow przyjaciel, który odtąd pomagał panu Tomaszowi dmuchać w ognisko rodzinne, odwiedzał też panią bardzo często, naturalnie w tym czasie, gdy małżonka nie było. Funkcye jego spełniał, jak się zdaje, należycie, gdyż pani Tomaszowa była zeń zupełnie zadowolona.

Czy w dzień, czy w nocy, był zawsze gotów na każde zawołanie, nic też dziwnego, że w domu państwa Tomaszów, czuł się, jak u siebie...

Dziś pan Tomasz wybrał się „na posiedzenie“, co oznacza, że nie wróci do domu trzeźwy i dopiero po północy...

W takim wypadku, aby skrócić nudy czekania, pani Tomaszowa... lecz lepiej może nie zdradzać jej domowych tajemnic!

I w samej rzeczy wrócił pod dach rodzinny i małżeńską pierzynę należycie strąbiony, lecz jeszcze przed dziesiątą...

Magnifika leżała już w łóżku, nie świecąc więc światła, gdyż tego nie lubiła, rozebrał się i wpakował pod pierzynę, kontent, że dziś jakoś ominęło go zwykłe kazanie o powinnościach przykładnego małżonka...

Nie mógł jednak usnąć, przewracał się z boku na bok i przy tej sposobności doszedł do przekonania, że w łóżku jest sześć — najwyraźniej sześć — nóg, gdy powinny być tylko cztery.

— Ja i Kundzia — mówił do siebie — to cztery!... Skąd jeszcze dwie?

I to mu spać nie dało.

Liczy raz jeszcze, od siebie poczynając — sześć!

— Kundziu! — pyta po chwili — A kto tu jest jeszcze, bo ja naliczyłem sześć nóg, a ani ty, ani ja, nie mamy chyba po cztery...

— Spałbyś, pijaku — żona na to — Tak ci się tylko wydaje. Cztery są nogi, nie sześć!

— Ale ja ci mówię, duszko, że sześć! — przekomarzał się z uporem pijaka.

Zona się jednak nie odzywała, a jemu te nogi nie mogły jakoś wyleźć z głowy..

Aby się ostatecznie przekonać, opuścił łożnicę stanął w nogach, włożył rękę pod pierzynę i liczy:

— Jedna, dwie, trzy, cztery!... Jak Boga kocham, tylko cztery nie sześć!... Kundzia ma racyę, zdawało mi się, bom się urżnął!...

I zupełnie już uspokojony, wlazł z powrotem do łóżka, nakrył się pierzyną i zasnął snem sprawiedliwych.



Historya z kanarkiem.

Pan Stefan, idąc plantami, znalazł się w położeniu bez wyjścia. Poczuł, że zbliża się chwila, w której każdy chce być tam, gdzie go oko ludzkie nie widzi. A tu, jak na złość, ani myśleć o podobnym zakątku.

Wiele jednak robi ten, kto musi. Była godzina dość wczesna, ludzi dość mało, nie zważając więc na to, że to miejsce publiczne, a zanieczyszczenie takowych karane bywa grzywną względnie aresztem, skoczył na bok i po chwili był już... lekkim, jak piórko

Ale w tym samym momencie nadszedł dozorca plant, który, widząc pana Stefana na trawniku, a przypuszczając coś złego, podszedł ku niemu...

Pan Stefan nie stracił jednak panowania nad sobą. Starym słomianym kapeluszem nakrył ślady swego występku i czekał spotkania.

— A co pan tu robią? — zapytał plantowy.

— Widzi pan łaskawy — pan Stefan na to — uciekł mi kanarek, ale mi się go udało złapać szczęśliwie!... Nakryłem go kapeluszem, aby znów nie czmychnął, a teraz mam zamiar pójść do domu po klatkę. Proszę uważać chwilkę na kapelusz!... Dostanie pan za to papierosa!... Ja tu zaraz wrócę...

— A dobrze! — odpowiedział poczciwina.

Po chwili nadszedł patrolujący policyant, a że to są ludzie bardzo ciekawi, pyta:

— Dzień doby!... A co pan tu robi?

— Pilnuję tu jednemu panu kanarka!... Jest pod tym kapeluszem!... Poszedł ino po klatkę — odpowiedział, poczem, jako że się obu nie spieszyło, zaczęli pogawędkę.

I gadali tak może z kwadrans, a pana z klatką nie było jakoś widać.

— Co się z nim stało? — mówił do siebie plantowy.

— On już pewnie nie przyjdzie! — dodał policyant. — Wie pan, wezmę tego kanarka i złożę go na inspekcyi. Tam może właściciel zgłosić się po niego.

— Pewnie! Do południa stać tu nie będę.

A policyant tymczasem przykląkł na trawie i zabierał się do wyjęcia kanarka z pod kapelusza.

— Tylko ostrożnie, aby go pan nie zgniótł — upominał plantowy.

— Już ja wiem, co mam robić!... — i wsunął lekko rękę pod kapelusz, po chwili zaś rzekł:

— U!... Zgniotłem go!...

I wyciągnął rękę z pod kapelusza, a zobaczywszy jak wygląda, dodał z determinacyą:

— Szlag-by go trafił z takim kanarkiem!...

Nie pytał!...

(Rozmowa dwu przyjaciół).

— Jakoś kiepsko wyglądasz!... Chorowałeś?

— Tak!

— Zapewne hiszpanka?

— Dyabli wiedzą!... Myślisz, że pytałem się ją o metrykę?...

— Wszystko mi jedno, małe, czy duże!... Właśnie dlatego się żenię, aby krajowi przysporzyć tych, którzy będą potem opłacać podatki...

— W takim razie wypowiadam panu mieszkanie od kwartału!... Na bezdzietne małżeństwo zgodziłbym się może, na dzietne nigdy!... I ja i moja stara lubimy spokój...

— Wypowiedzenia nie przyjmuję! Mam z panem roczny kontrakt!... Za mną jest „Ochrona lokatorów“... Zresztą mogę pana zapewnić, że do kwartału jeszcze nic nie będzie...

— W każdym razie prosiłbym pana, aby coś podobnego nigdy się już nie powtórzyło... Niech pan tylko pomyśli, ile musiałoby to pana kosztować, gdyby się tak schody pod tłumem zawaliły!... A stare są i spróchniałe...

Nie słuchałem dalej jego skarg i narzekań, lecz skierowałem się do drzwi mego mieszkania, czekając na odwiedziny chcących dzielić ze mną stoł i łoże...

Za chwilę weszła pierwsza, uśmiechając się słodko... Była to przysadzista blondyna, lat około trzydziestu.

— Zgłaszam się — rzekła — na anons, który był w *Kuryerku*... Mam wszystkie warunki, jakich pan łaskawy wymaga i sądzę, że możemy być szczęśliwi... Ja tam nie jestem zbyt wymagającą, choć, muszę przyznać, nie znoszę opozycyi...

— Bardzo dobrze! — odpowiedziałem. — Proszę mi zostawić adres i fotografię. Dam odpowiedź na piśmie, gdyż muszę się zastanowić, nim powezmę ostateczną decyzyę...

Po niej przybyła druga, trzecia, dwudziesta, sześćdziesiąta... Każda z nich starała się przekonać mnie, że tylko wówczas mogę marzyć o szczęściu, jeśli na nią padnie mój wybór, gdyż teraz trzeba być w tym kierunku bardzo ostrożnym.

Tego samego zdania byłem i ja.

Między zgłaszającymi się nie brakło i mężczyzn. Byli to ojcowie w imieniu swych córek i opiekunowie, zastępujący swe pupilki, nie mogące się jawić osobiście.

Były także i stare niewiasty, świadczące się Bogiem, że takiej teściowej, jak każda z nich, nie tylko w życiu, ale nawet w powieści nie znajdzie...

Audyencye trwały do trzeciej, a gdy się skończyły, wyczerpany i głodny rzuciłem się na łóżko i zasnąłem snem sprawiedliwych.

I śniło mi się, że jestem już żonaty, siedzę w domu, kołyszę dziecko i doglądam, aby się obiad nie przypalił, gdyż żona kwestuje dziś na ulicy na opuszczone dzieci, służąca zaś poszła na zgromadzenie, zajmujące się ułożeniem regulaminu dla służby domowej.

Nagle z kołyski odzywa się głosik następcy tronu:

— Tata!... Be!...

Już miałem pospieszyć z pomocą, gdy wtem zaczyna zupa kipieć i wylewać się na blachę, równocześnie słychać pukanie, a po chwili otwierają się drzwi, wchodzi teściowa i rzuca mi się na szyję ze słowami:

— Drogi zięciu!... Tak już dawno u was nie byłam!... Ale nie martw się!... Teraz zostanę u was na stałe!...

Obudziłem się koło siódmej, a gdy sobie przypomniałem, co mi się śniło, wystąpiły na mnie zimne poty... Tego rodzaju przyjemności małżeńskie nie są bynajmniej pożądane, a chyba trudno się ich ustrzedz. Kto się żeni, musi być na wszystko przygotowanym, nawet i na to, że domowe kółko może się zamienić bardzo łatwo i na trójkąt małżeński..

I teraz dopiero zacząłem się zastanawiać nad słowami inspektora i przyznawać mu słuszność... On już się cofnąć nie może, ja mam jeszcze drogę otwartą, dopóki klamka ostatecznie nie zapadła...

Nie będę wprawdzie jadł domowych obiadów, które sam będę musiał przyrządzić, nie będę się mógł cieszyć przyjemnościami ojcowskiemi, w guście owego: „Tata!... Be!...“, ale będę mógł swobodnie poruszać się w czterech ścianach swego mieszkania i robić, co mi się żywnie podoba, bo tu jestem panem i nikt mną nie komenderuje!...

Na drugi dzień, gdy refleksye wczorajsze skrystalizowały się jeszcze dokładniej, gdym ponadto otrzymał na poczcie dwa tysiące ośmset trzydzieści sześć ofert małżeńskich, powiedziałem sobie jasno i otwarcie, że wybór będzie bardzo trudny, wobec czego lepiej dać spokój i nie pchać zdrowej głowy pod ewangelię...

Byłem dotąd kawalerem i nie było mi z tem najgorzej, pozostanę nim i nadal i z białą lilią w dłoni stawię się kiedyś na głos trąby archanielskiej na dolinie Jozefata...

Chęci miałem jak najlepsze, ale wybór był trudny i to mnie odstraszyło. Spełniło się na mnie owo zdanie: „Osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano...“ Tamten osiołek z powodu trudnego wyboru zdechł z głodu, z tego samego powodu ja zostałem kawalerem, lecz sądzę, że z nas dwu, to ja lepiej zrobiłem!... A nuż byłbym źle trafił przy mym pechu?...

Ale niema złego, by na dobre nie wyszło. Nazajutrz postawiłem stróża w bramie, by odprawiał zgłaszające się kandydatki zapewnieniem, że małżeństwo już zawarte, sam zaś udałem się do tych samych, co poprzednio, redakcyi i ogłosiłem, co następuje:

„Kolekcya fotografii współczesnych piękności krakowskich w wieku do lat trzydziestu do odstąpienia za mierną cenę lub zamiany za cetnar węgli“.

Nie mogąc się ogrzać przy boku którejś Abizaj w sposób sakramentem uświęcony, rozgrzeję swe członki bodaj ciepłem, jakie mi dadzą te czarne dyamenty, które otrzymam za ich podobizny...

Co zaś najważniejsze, zostaję w mieszkaniu dawnem, gdyż gospodarz nie będzie już miec powodu do wypowiedzenia!...

A jeżeli rozchodzi się o pracę dla kraju nad zapełnieniem luk, jakie wojna spowodowała w szeregach obywateli, to sposobności do tego nie braknie i bez sakramentu!

Sam swojej grzędy nie zorzę, gdyż jej nie mam, ale pomogę przyjacielowi i mogę pójść na zarobek, co byłoby wykluczone, gdybym miał żonę i... teściową...

Nauczyło mnie to także cenić swą wartość!.. Dzięki wojnie znaczymy coś, skoro ja sam, w jednym dniu, miałem ponad cztery tysiące ofert, a każda zapewniała szczęście!



— Na ulicach stosunki bezpieczeństwa w nocy pozostawiają wiele do życzenia!... Spróbuję! Może i mnie kto zaczepi!



— Mój mężu!... Zima się zbliża, trzeba nam się w węgiel zaopatrzyć.

— O! To już taniej wypadnie jechać na południe!



— Czy mąż pani jeździ jeszcze?

— Tak, ale bardzo słabo! Mój kuzyn zawsze go zdystansuje!



Blondynka: I jak długo będziemy siedziały w tej kawiarni?

Brunetka: Gdy chcesz, to idź, ja zostanę! Nie słyszałaś, że kelner wołał w tej chwili: „Mała czarna zamówiona do gabinetu!...“ Żebym tylko wiedziała, który to gabinet!



— Gdzie pan spędziłeś ostatnie trzy miesiące?

— Na południu!

— O ile jednak słyszałam, okna pańskiej celi wychodziły na północ!



Miłe złego początki są z nastaniem wiosny
Za to pod zimę bywa ich koniec żałosny.



— Co pan mi się tak przypatruje?

— Jestem medykiem, a obecnie studyuję anatomię kobiety!



— Proszę wielmożnej pani!... W salonie czeka krawiec z rachunkiem i pan baron z bukietem! Co mam zrobić?

— Zapoznaj tych panów ze sobą!



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Zapewne musiała się tak Redakcya, jak i P. T. Czytelnicy zdziwić, że w poprzednim numerze *Bociana* nie było mojego listu, ale to nie moja wina, lecz okoliczności (nie tych, które na sobie noszę, mam bowiem dwie pary, choć obie z dziurami, celem tem łatwiejszej wentylacyi...).

Miałem w tym czasie tyle rozmaitych spraw do załatwienia, że poprostu nie wiedziałem, od czego zacząć!

I tak, wypadało pojechać do Krakowa na uroczystość zjednoczenia polskiej armii, zwłaszcza, że otrzymałem nawet od Rady miejskiej zaproszenie na raut w Sukiennicach, wypadało być na otwarciu „Bagateli“, a pani Wilsonowa pisała do mnie, bym odwiedził w Waszyngtonie jej męża, który leży w łóżku i widocznie za mną tęskni, gdyż co chwilę, nawet przez sen powtarza zbolałemi usty: „Klapa!... Klapa!“...

Co do tego ostatniego punktu jestem przekonany, że to nie odnosi się do mnie, ale raczej do stosunków politycznych, to jest do ratyfikacyi traktatu pokojowego przez amerykański senat, który jakoś nie ma ochoty, aby pozwolić Lidze Narodów na wtykanie nosa w cudze sprawy. Senatorowie wychodzą z bardzo zresztą słusznego założenia, że „Wolnoć Tomku w swoim domku“, pocóż więc Liga ma tam pchać swój nos, gdzie jej nie proszono...

Wybierając zatem między jazdą do Krakowa, lub do Waszyngtonu, zostałem ostatecznie w Warszawie, gdzie tymczasem rozgrywały się bardzo ważne sprawy. Na pierwszy plan wybili się tutaj fornale i inna służba dworska, która powiedziała sobie, że teraz na nią kolej. I miała racyę!.., Bo, proszę mi powiedzieć, co wart jest obszarnik, choćby nawet i posiadacz kilku tysięcy morgów, jeśli mu fornale odmówią współpracownictwa i nie zechcą orać, zwozić zboża i t. d. A ponieważ dziś już taki duch czasu, że każdy chciałby nic nie robić, a mieć jak naj więcej, nic w tem chyba dziwnego, że i fornalom zachciało się, aby oni byli obszarnikami, a panowie poszli do nich za fornali... Jak reforma, to reforma i to jak najdalej posunięta.

Wobec tego nosiłem się z myślą, czy nie dać buzi na pożegnanie polityce, na której dotąd nic nie zyskałem, a nie zapisać się do cechu fornali aby wyjść potem na obszarnika.

Ponieważ jednak nie jestem płochym i lubię się nad wszystkiem długo zastanawiać, zanim powziąłem decyzyę, tymczasem sprawa fornali spadła z porządku dziennego. Obszarnicy są dalej obszarnikami i bawią się w pasek, fornale zaś wrócili do swych koni.

Co się jednak odwlecze, to nie uciecze. Fornale wypłyną jeszcze na wierzch, a wówczas nie będę czekać, ale zamienię pióro na bat, a może zrobię tam większą karyerę, niż w polityce.

Po obszarnikach i fornalach ma podobno przyjść kolej na kamieniczników i lokatorów. Ci ostatni mają się stać kamienicznikami, tamci zaś będą się im musieli kłaniać i czekać co kwartał na podwyższenie czynszów, bo tymczasem dyabli wezmą „Ochronę lokatorów“, która, jak mi powiedział jeden z kamieniczników, jest „dyabelskim wymysłem“.

I dlatego nie dziwię się zupełnie, że radca Schneider tak narzekał na garbaty los tych wszystkich, którzy dziedzicznie obciążeni są kamienicami, lub sami dobrowolnie nabawili się tego kłopotu. I ja, gdybym był na jego miejscu, sprzedałbym swą realność paskarzowi, gdyż ci ludzie mają pieniądze i mogą płacić za chałupy tyle, ile kto zażąda.

Dziwi mnie tylko jedno.

Jeśli w samej rzeczy posiadanie kamienicy daje powód do tylu zmartwień, dlaczego dotąd nie znalazł się żaden taki nieszczęśliwiec, który chciałby się pozbyć tego kłopotu i darował ją swemu wrogowi, niech on teraz ma zmartwienie... O takim wypadku nie czytałem nawet w *Kuryerku*.

Ja tam z przyrodzenia mam bardzo czułe serce i bardzo chętnie ulżyłbym któremu, ofiarując mu nawet bezinteresownie gratisowe mieszkanie aż do śmierci, albo posadę stróża w tejże samej kamienicy.

A takiem stanowiskiem nie powinno się gardzić. Stróż kamieniczny przyszłości, to nie to, co dawniejszy. To jest coś w guście fornala po ułożeniu się stosunków, które mają być tego rodzaju, że nie pan ma wydawać dyspozycye fornalowi, ale odwrotnie.

Pozatem zatrzymała mnie w Warszawie praca nad lepieniem większości sejmowej. Chcieliśmy zrobić państwu Paderewskim niespodziankę i złożyć ją przed ich powrotem z Londynu, niestety, nie udało się. Pertraktacye między stronnictwami idą dość opornie gdyż posłowie mają na głowie coś ważniejszego, a jest tem podwyższenie dyet poselskich i dodatek drożyźniany.

Już i do nich dobiera się widocznie bieda!... Niechaj sobie uchwalą, potem może nie zapomną i o innych, którzy także mają ochotę do życia.

Na razie podobno robi obstrukcyę pan minister skarbu, który powiada, że brak na to funduszów. Jest on fachowcem, więc powinien mieć racyę, ale pokazuje się, że więcej doświadczenia mają ludzie z „domowem wykształceniem“.

Gdy minister się tłumaczył, że nie wie, skąd wziąć na pokrycie tej nowej rubrykí rzekł mu najspokojniej jeden ze szefów sekcyi:

— To głupstwo!... Każe pan wybić kilkadziesiąt milionów marek więcej i po krzyku!... Papier wprawdzie dziś drogi, ale na taki wydatek można sobie chyba pozwolić!...

— Bardzo ładnie! — pan Biliński na to — Ale kto to będzie potem płacić?

— E!... O to niech pana głowa nie boli!... Tymczasem będzie już inny minister i ten niech o tem myśli...

I w ten sposób go przekonał.

Pan Biliński miał mu na pożegnanie powiedzieć:

— Panie!... Jesteś pan jedynym kandydatem na ministra skarbu!... Gdy będę miał ustąpić, zaproponuję pana na swego następcę.

— A widzi pan!... — odparł zadowolony pochwałą — Mnie już moja mama mówiła, że ja muszę wysoko skończyć!...

— I miała racyę!...

Na razie przecież następcy pana Bilińskiego nie potrzeba, rozglądamy się natomiast za odpowiednim kandydatem na fotel aprowizacyjny, na którym pan Sobański zbyt długo nie wysiedział. Pono gniotły go sprężyny...

Poseł Witos powiada, że na to stanowisko potrzebny jest człowiek fachowy i energiczny, nie należy zaś wątpić, że takiego kandydata i to nie jednego, mają „Piastowcy“ w swem gronie. Energię w tym wypadku należy tak rozumieć, że pan minister ma dużo i głośno gadać, jak być powinno, ale, broń Boże, nie powinien się narażać agraryuszom, którzy (tak wielcy, jak i mali...) są tego zdania, że nie należy mówić ani o jakimś sekwestrze zboża, ani o wolnym handlu, bo dziś pasek, to grunt!

Proponowano mi zajęcie tego stanowiska, ale podziękowałem, gdyż Salomonem nie jestem i z próżnego lać nie potrafię, co najwyżej, w próżne!... Dziś minister aprowizacyi, to jeszcze nieszczęśliwszy, niż kamienicznik!... Każdy woła nań „Dawaj!...“, a nikt nie wskaże, skąd ma wziąć... Gdyby mnie zapewniano, że mogę się spensyonować po tygodniu i otrzymam podwójną emeryturę, nie zgodziłbym się jeszcze, gdyż przez ten tydzień miałbym tyle kłopotów, że nie opłaciłoby się to stanowczo.

Wolę sobie siedzieć w „Gwizdku“ i nic nie robić. Nawet kawałków nie podpisuję, gdyż kazałem sobie zrobić pieszczątkę...

Dlaczego nie wyjechałem do Waszyngtonu, to jest na razie tajemnicą, którą będę mógł zdradzić, ale dopiero później. Na razie muszę milczeć!...

Ze w Krakowie nie byłem w tym czasie, nie nie żałuję. Byłbym z pewnością wybrał się na raut i, kto wie, czy nie byliby mnie tam udusili. Choćbym się był i dostał na salę, byłbym się musiał obejść smakiem, gdyż cztery tysiące ciastek na pięć tysięcy osób, to... psu mucha!

A ja tak ciastka lubię!... Byłbym niepocieszony, gdyby mi się było nie dostało!

Urządźcie jaką nową paradę, ale tak, jak się patrzy, a będziecie mnie mieć między sobą.

Na razie, dajcie pyska

Waszemu

Klapie.

Omnibus.

Obserwacye komunikacyjne.

I.

Gdy miał lat dwadzieścia cztery
I szyk pański i maniery,
Rozbijał się tu i tam,
Czwórką swą powoził sam.

Lat czterdzieści, czas mknie szparko,
Jeździ tylko jedną parką,
A na koźle stangret Jan,
A w powozie jaśnie pan.

Lat sześćdziesiąt z łaski Bozi,
Dzisiaj znowu sam powozi,
Deszcz czy zanieć, upał, mróz,
Lecz nie czwórką! *Omnibus!*

II.

Lekkim krokiem sunie panna,
Toaleta nie naganna,
Spojrzyj na nią, poznasz wnet
Elegancki *kabryolet.*

Druga z miną gorszą troszki
Pokazuje swe pończoszki,
W toalecie smaku brak,
To *dorożka*, czy nie tak?

A ta? Nikt się nie pomyli,
Strój krzyczący o pół mili,
Jedna to z wędrownych muz,
Stary mocny *omnibus.*

III.

Komu idą interesy
W szansonistkach ma metresy,
Pije słodycz z kobiet ust
I szampana, gdy ma gust.

Nie stać go na szansonistkę
Bierze szwaczkę, lub modystkę
Na Bielany albo w las
I używa, gdy ma czas.

Kogo już na szwaczkę nie stać,
Ten najlepiej mógłby przestać.
Ale trudno, kiedy mus
Bierze sobie *omnibus.*



Rusin w kłopocie.

Hryć wracał z jarmarku do domu. Chciał wsiąść na konia, którego kupił, ale nie mógł, gdyż zbyt gorliwie zaglądał do kieliszka.

Co chce dosiąść kobyłę, w żaden sposób się mu to jakoś nie udaje, a tu noc się zbliża, a do domu daleko.

Przeżegnał się więc trzy razy i znów próbuje. Na nic!

— Pane Boże dopomóż! — wzdycha pobożnie, ale i tym razem bez skutku.

— *Swinta Mater Bożu!* — zwraca się z kolei do Matki Boskiej, ale i to nie pomaga.

— Wszyscy Swięci pomóżcie! — i jak się nie odsadzi, przeskoczył kobyłę i znalazł się z drugiej strony na ziemi.

Podnosząc się, przemawia do nich przekonywująco:

— Ale, do czorta, nie wszyscy naraz, lecz po kolei!...

Ferdek Eleuteryk.



Rok minoł szczyśliwie od chwili kiwnieńcia mamy Austryji, świć Panie nad jij duszą kolorowemi latarniami. Wyciongneła starowina kopyta, a nikt po nij nie zapłakoł, nawet pies nie zawył, bo czyśće ich jużeśmy zjedli, a ta reszta, która została, to są skieły dobrze wychowane i nie wyją, aby ich kto przypadkiem nie był posondzajoncy, że należą do Towarzystwa Operowygo.

Choć źle mówie! Byli tacy, co po nij płakali i dotond jeszcze kapa wisi im u gzymsu z wielgigo rozczulinio, a tymi są różne radce cysarskie i różne stare urzyndniki, nimogonce se wystawić, jak mógłby być wyglondajoncy ten cysarsko-króleski świat bez czopki z bonczkiem. Austryje djabli wzieni, gacek austryjacki odleciol se nad Dunaj i tam robi zycbady, a Europa furt stoi i o kuńcu świata ani słychu, ani dychu!

Żałosno to rocznica i lotygo obchodzono ją ze smutkiem, nie było nawet rautu w Sukiennicach, bo pon wiceprzydent Rolle pedzioł se, że mo już tamtygo dość, zresztą, gdyby sie Kraków zanadto rozrautowoł, zachciałoby mu sie, aby mu choć co miesionc taką frajde być urzondzajoncym, a na to nima hopów.

Nadurkowali wprawdzie coś za dwa milijony majestrackich korun, ale sie pokozało, że to wszyćko mało, wienc Rada była po rozum do makówy chadzajonca i polecila sekcyji wynalazków, aby sie była zastanawiajonca nad wyszukaniem nowych źródeł dochodu, z których mogłoby coś cyknońć do mijskij kasy, które jest tako goło, jak z przeproszyniem psi nos!

Ktoś tam radziuł, aby zaprosić owygo telepate, co to grypsoł i godoł o owyj różdżce czarodzijskij, może ona wskoże, gdzie som hopy. Jo se jednak jestem, choć nie radca, nawet cysarski, tak kumbinujoncy, że zdałaby sie naszyj Radzie różdżka, ale nie czarodzijska, ino zwykła z Olejandrów, abo z byzia. Trzaby nią rrobić tym panom, co to mijskie hopy na niepotrzebne rzeczy są wydajonce, masowanie tyj z przeproszyniem czyńści ciała, w któryj zwykle rozum lubi być za młodu ukryty i skąd trza go być w góre popendzajoycym, aby sie tam znaloz, gdzie jest jego mijsce. A nasze wielgie radce, choć na oko to jest z cyferblatu, stare (skazówka tyż pod psem, a i wahadło nima co godać!...), duchem są przecie młode, pstro im w makówie i potrzebują, aby ich Duch świnty był oświcajoncy, abo ktoś rozum w inakszy sposób był napendzajoncy.

A że wiadomo, iż z oświetleniem teroz cinżko (nawet gwiozd mnij na niebie, a kumeta pokozała sie bez ogona...) zostaje ino ten drugi sposób, to jest różdżka, ale nie czarodzijsko. Zwyczajno, ale musi być mocno i gientko, no i należycie długo, gdyż panowie radce mają sklepinia swych oficyn bardzo rozłożyste.

Choć nima sie co obawiać, aby panowie radce nie wynalazły nowych źródeł dochodu. Pod tym wzglendem fantazyji im nigdy nie brakuje. Dają dowód, że ich makówy są nie tylko od noszynio kapelucha.

A gdyby tak przypadkiem, czego sie jednak nie boje, pokozało sie, że te wszyćkie źródła, jakie znają, już wyschły, niech mie poproszą, a jo im doradze, gdzie tych hopów szukać.

Niedawno spotkołem jednygo znajomygo gołygo dymokrate (przyodziwe mioł na sobie!) i ten tyż był narzykajoncy, że nimo hopów, a nie wi, gdzie ich szukać.

Poradziłem mu, aby se pożyczył, jeżeli znajdzie takigo, coby chcioł być na taką kiepską hipoteke dajoncy, abo zaczon sie bawić w pasek, bo to jest całkiem klawy jenteres, lub wkońcu ogłosił benkele.

Ten ostatni sposób dojścia do hopów jest najpewnijszy, ale w traktacie pokojowym zastrzeżony jest ino dlo mnijszości narodowyj, na co mo być Liga Narodów uważująca. Był on dawnij połączony z siedzyniem u Michała (nazewało sie, że kupiec wyjechoł do kompil, do Zycbadu...), dziś nie potrza sie tygo być obawiajoncym, gdyż nawet w kryminole tak łatwo, jak dawnij, nie dostaje sie miszkanio. I do tygo trza mieć pretekcyje i to obiecują najpirw bez wiktu i opału, ino z opierunkiem.

Idonc od zadu, to z onych trzech sposobów, w jakie można być do hopów dochodzoncym, ostatnigo. to jest benkele, nie doradzom. Zreśtą jak mo przyńść, to przyńdzie i bez mojij rady.

Drugi sposób, pasek. Nie trza godać, że miastu nie wypado sie w to bawić, choć paskorze cieszyli sie i cieszą poparciem majestrotu. Co drugi urzyndnik, a co trzeci radca to paskorz. Ale jednostki mogą se być nimi, ino nie cało gmina.

Zostaje wienc pirszy sposób. Pożyczyć! Ale gdzie? — ktoś pewnikiem zapyto, a jo mu na to odpowiem, że nie wiem, bo, gdybym był wiedzoncy, jużbym dawno był pożyczajoncy, jako iż som hopów nie jestem majoncy.

Zreśtą jo nie jestem nawet radcą cysarskim, wienc radzić nie myśle.

A może nie pożyczą? O to nima obawy. Kto mo tele długów, co Kraków, może robić jeszcze wincyj. Ci sami, co im winien, pożyczą jeszcze, aby mioł im z czygo bodaj precenty być opłacajoncy.

Nimomy to zreśtą Sukinnic, plantów, Błoni, Panińskich Skał, kaminiołomów, kopalni wongla i tak dalij. Kraków to hrabia, wienc sie o hopy troskać nie powinien.

A wtedy może i mnie z tygo co kapnie, co dej Panie Boże. Amen.

Brzydka konkurencya.

Właściciel składu bielizny, idąc ulicą, spotyka jakąś niewiastę i na jej widok odwraca się z widocznym wstrętem. Zauważył to nawet jego towarzysz, bo pyta:

— A cóż ci ona złego zrobiła?

— Nie znoszę brudnej konkurencyi! — odpowiada na to. — Ona była za austryackich czasów pielęgniarką i, powiadam ci, przez miesiąc na jednem prześcieradle zarobiła więcej, niż ja na całym mym sklepie przez rok, choć tak ciężko pracuję!

Z mody.

Nie wabi mnie wąska sukienka, bo cnota
Jest pod nią zazwyczaj szeroka jak wrota.

* * *

Dawniej, gdy człek nie znał mody,
Nie kupował żadnych szmat,
W rajskim stroju szedł w zawody
I podbijał cały świat.

Dziś, gdy moda świat podbiła,
Każdy stroi się w myśl mód,
Lecz mimo to — rzecz niemiła —
Gołych ciągle mamy wbród.

Kupiec, co się zowie.

Pan Jojoe, właściciel handlu galanteryjno-bławatnego w Krakowie, jako grzeczny i uprzejmy kupiec stoi przed sklepem i zaprasza gości do wnętrza.

Nawinął mu się właśnie jakiś, jak z miny można wnosić, obcy człowiek, więc bardzo pożądana klientela.

— Proszę bardzo — mówił Jojne, zastępując drogę — Niech pan dobrodziej tylko wejdzie do środka! Mam fajn towary w najlepszym gatunku i, żebym tak zdrowy buł, sprzedaję je niżej własnych kosztów... Co pan dobrodziej potrzebuje!... U mnie jest wszystko!

— Wątpię! — odpowiada przybysz.

— Wątpię?... U mnie jest i „wątpię“ i to w najlepszym gatunku!... *Sare!.. Gib für den Herrn „wątpię“*.. Dopiero wczoraj przyszło...

Po chwili, gdy gość, wciągnięty poprostu, znalazł się już w sklepie, Jojne pyta najspokojniej:

— Przepraszam pana dobrodzieja!... A co to jest to „wątpię“, co pan potrzebuje?...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Srzeniawski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Słuchajno mała! Czy twoja pani przyjmuje?

— Zależy od tego co?... Kwiaty wyrzuca, ale pieniądze przyjmuje!...